

TOMEK MICHNIEWICZ

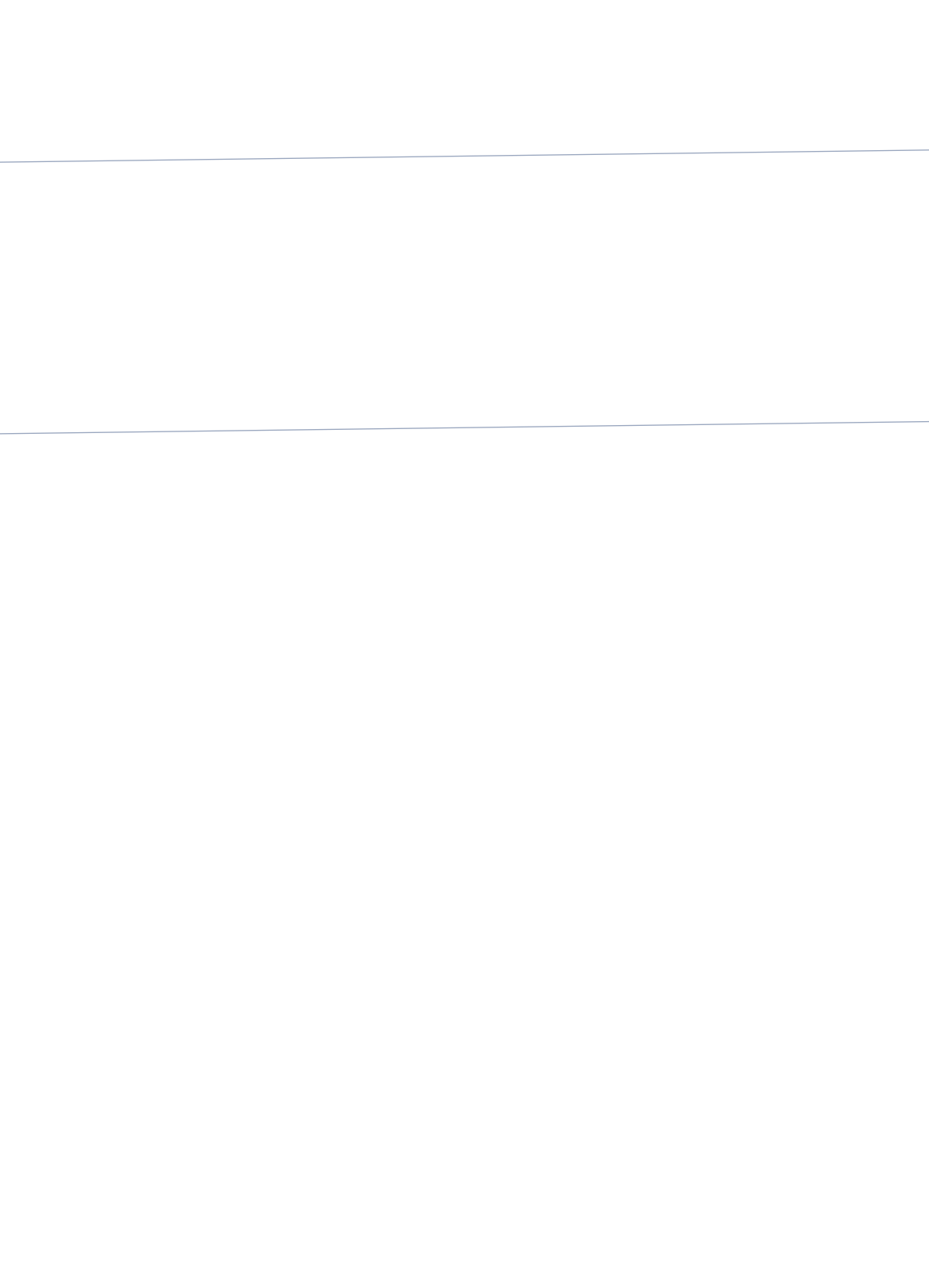


SWOJĄ DROGĄ

OPOWIEŚĆ O TRZECH PODRÓŻACH PO INNE ŻYCIE



SWOJĄ DROGĄ



TOMEK MICHNIEWICZ

SWOJĄ DROGĄ

WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2014

Copyright © by **Tomasz Michniewicz**

Opieka redakcyjna: **Magdalena Oczachowska**

Redakcja tekstu: **Maria Kula**

Opracowanie typograficzne książki: **Daniel Malak**

Adiustacja: **Janusz Krasoń / Studio NOTA BENE**

Korekta: **Maryla Armata / Studio NOTA BENE,**
Anna Szczepańska / Studio NOTA BENE

Łamanie: **Agnieszka Szatkowska**

Projekt okładki: **Małgorzata Wójcicka**

Fotografie w książce i na okładce: © **Tomasz Michniewicz**

Promocja książki: **Marcin Sikorski**

ISBN 978-83-7515-288-3

WYDAWNICTWO
otwarte

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2014.
Druk: Colonel, ul. Dąbrowskiego 16, Kraków.

Wszystko zaczyna się od decyzji

*Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione w tej książce są prawdziwe.
Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione na ich prośbę
lub ze względu na ich bezpieczeństwo.*



OPUSTOSZAŁYMI ULICAMI wiatr toczył butelki po rosyjskim szampanie, a dźwięk szkła niósł się głuchym echem wzdłuż placu Konstytucji. Płatki śniegu szukały ostatnich suchych miejsc na chodniku. Z bramy po przeciwnej stronie placu dobiegł mnie nierówny stukot obcasów. Ktoś próbował wrócić do domu. Postawiłem kołnierz płaszcza.

Marszałkowską przejechała biała limuzyna. Przez okno w dachu wystawały z niej dwie rozwrzeszczane nastolatki owinięte fioletowym boa. Jedna z nich posłała mi całusa. Druga cisnęła za siebie pustym kieliszkiem, który trafił w krawężnik i rozprysnął się w kawałki. Limuzyna skręciła, dziewczyny zniknęły za rogiem, wyrzucając do góry ręce z piskiem fałszywej radości.

Trzecia trzydzieści. Już nie dziś, ale jeszcze nie jutro. Ostatni moment na postanowienia, którymi ponownie spróbujemy oszukać samych siebie. Przecież z góry wiemy, że kolejny raz przegramy tę nierówną walkę. Bez względu na dzisiejsze decyzje jutro trzeba będzie iść dalej, dotychczasową drogą.

Z balkonu pofrunął na chodnik niedopałek papierosa. Spojrzałem w górę. Zza przymkniętych okien dobiegały stłumione rozmowy. Kilka nut na pianinie, początek nic nieznaczącej melodii. Potem z nagłą chór podniesionych głosów w dyskusji nad tym, co w życiu ważne.

A może o głupotach, skąd mogę wiedzieć.



PODSZEDŁEM DO TAKSÓWKI stojącej na postoju. Kierowca spał, przykryty gazetą z krzykliwymi tytułami. Zapukałem nieśmiało w szybę. Zerwał się, udając, że wcale nie drzemał, i gestem zaprosił mnie do środka. Gdy wsiadałem, umieścił na nosie okulary, do tej pory spoczywające dostojnie na czubku jego łysej głowy, przetarł oczy i rozsiadł się wygodniej w fotelu, pieczołowicie składając gazetę na miejscu pasażera, żeby później dokończyć jakiś sensacyjny artykuł.

– Dokąd, panie kierowniku?

Podaliśmy adres.

– Oj, to niedaleko... – zafrasował się kierowca.

– A co, liczy się tylko, gdy jest daleko?

– Wie pan, w moim fachu akurat im dalej, tym lepiej.

Puste miasto tonęło w żółtym świetle latarni. Minęliśmy małą restaurację rozbrzmiewającą starym przebojem Chucka Berry’ego. Przed wejściem kilkanaście par tańczyło rock and rolla w strojach z epoki, w skarpetkach w kolorowe paski i kapeluszach, i w samych koszulach, na przekór zimnu.

Kierowca nieustannie narzekał, jak to się wszystko zmienia i jak to teraz ciężko w życiu. Stały repertuar, wszyscy go znamy.

– A pan, szanowny panie, to ile ma lat?
– Trzydzieści.
– Ojjoj, to ja mam czterdzieści trzy lata więcej!
– Wnioskując z pańskiej energii, to jeszcze sporo przed panem.
– No nie wiem... Pan to jest jeszcze młody, ja to już jestem po kolacji...
– Wie pan, to tylko kwestia nastawienia – odpowiedziałem.
– Możesz się pan nastawiać, jak się panu żywnie podoba, ale jak przyjdzie zawał, to i tak się pan przekręcisz.

– Ale do tego czasu jeszcze wiele pan może zdziałać.
– A co ja tam mogę... Jeżdżę, panie, po tej Warszawie całe dni, całe noce. Do pierwszego ledwo starcza, siły nie ma...

Patrzyłem przez okno, słuchając w milczeniu. Bombki zawieszane na latarniach kołysały się szarpane coraz silniejszym wiatrem.

– A pan czym się zajmuje, jeśli można wiedzieć? – podjął kierowca po chwili.

– Podróżuję. Piszę. Poznają miejsca.

– Pięknie! Zazdroszczę. Paryż... Mediolan... Nowy Jork... Zawsze chciałem gdzieś pojechać. Bo wie pan, we mnie to siedzi taka niespokojna dusza. Wycinam czasem fotografie z gazet i chowam do puszki, potem sobie przeglądam w samotności. Różne miejsca, wie pan. Czasem z takiego zdjęcia coś jakby do mnie mówi. Czuję, że to jest akurat miejsce dla mnie. A inne, może i piękne, wie pan, znane, jakoś nic, w ogóle... Ale co z tego? Życie trzeba, nie ma czasu na wojaże. Bo powiem panu, że mi to się raczej nie udało życie. Ale pomarzyć zawsze można.

– Niech się pan nie poddaje, jeszcze nic straconego. Dobra noc na śmiałe plany.

– Młody pan jeszcze jesteś, życia nie znasz... Powiem panu coś. To nie zawiść, proszę tak tego nie odebrać. Ale pan sobie jeździ, zobaczy kawałek świata, zdjęcie zrobi, napisze parę słów, potem posiedzi na słonku, kawę wypije... Bajka, nie życie. Każdy by się z panem zamienił w jednej chwili.

– Na pewno tak się każdemu wydaje.



Luang Prabang, Laos

STALIŚMY POD BRAMĄ ŚWIĄTYNI ZŁOTEGO MIASTA, uiszczając drobne opłaty za wejście. Po przekroczeniu progu znaleźliśmy się na sporym dziedzińcu, okolonym zabudowaniami. Wskazałem, czego gdzie szukać, i wszyscy rozpiechli się po terenie. Ostre słońce raziło oczy. Upał, w powietrzu kurz. Sucho w ustach.

Wszedłem do głównej sali. Drewniana podłoga sprzed pięciuset lat przyjemnie chłodziła stopy. Z ciemnych ścian spoglądały postacie z mieczami, drewniane smoki, misternie rzeźbione zwierzęta, rycerze i rolnicy – historia wieków uwieczniona dłutem i farbą. W powietrzu można było wyczuć delikatną woń kadzideł i kwiatów składanych każdego ranka pod posągami Buddy. Ktoś medytował, klęcząc w rogu. Mnich zamiatał posadzkę miotłką z trawy.

Uwielbiam to miejsce.

– Proszę za mną. – Drogę zastąpił mi młody chłopak w mundurze. Miał może z osiemnaście lat, odprasowaną regulaminowo koszulę i minę, jakby na niczym już mu w życiu nie zależało. Pewnie jakaś rutynowa kontrola, jak to w komunistycznym kraju.

Chłopak przeprowadził mnie przez dziedziniec i przecisnął się przez krzaki, które odsłoniły ukryty stół i dwa krzesła. Na jednym siedział pucołowaty jegomość w identycznym mundurze. No nic, zobaczymy.

– Paszport.

– Proszę.

Nauczyłem się już dawno, żeby w kontaktach z oficjalami trzymać gębę na kłódkę, odpowiadać na pytania krótko i zwięźle oraz nie podrzucać im dodatkowych tropów. Zwłaszcza kiedy jestem w kraju, gdzie mundur to władza, od której przeważnie nie ma odwołania.

Podczas gdy ten grubszy wertował mój paszport, przyjrzałem się uniformom. Płowe, ni to policyjne, ni wojskowe. Może ochrona, może jakaś milicja turystyczna. Kto to wie.

- Przyjechałeś tu z grupą?
 - Ze znajomymi.
 - Jesteś przewodnikiem?
 - Nie.
 - Przecież widziałem, że ich oprowadzasz.
 - Nikogo nie oprowadzałem.
- Spojrzał na mnie, znudzony.
- To wyjaśnimy to sobie na posterunku.
 - Co niby mamy wyjaśniać?
 - Na posterunku.

Dziwne.

Starszy rzucił kilka słów po laotańsku i podał młodszemu paszport. Chłopak władczy gestem kazał mi ruszać za sobą. Odpalił skuter i przewiózł mnie nim przez całe centrum, omijając zręcznie stragany z pamiątkami, które właśnie rozstawiano na głównej ulicy. Zatrzymaliśmy się przed niepozornym budynkiem, do którego wiodło jeszcze bardziej niepozorne wejście. Skrzypiące starymi zawiasami drzwi, trzymające się na słowo honoru, prowadziły do ciasnego wnętrza, które czterdzieści lat temu było błękitne, a dziś raczej szarawe, przynajmniej tam, gdzie na ścianach wciąż można było dostrzec farbę.

Posadzili mnie na krzesła przy jednym z dwóch biur. Przy drugim trwała gorączkowa dyskusja nie wiadomo o czym. Wiatrak mielił stojące, duszne powietrze, przesłaniając słabą świetlówkę. Mijały niekończące się minuty.

Wciąż nic nie wiedziałem, ale pozostało mi tylko czekać. Chłopak raz na jakiś czas zaglądał do sąsiedniego pomieszczenia i najwyraźniej za każdym razem był odsyłany z powrotem. Czas płynął przeraźliwie wolno.

W końcu po mnie przyszli. Podnieśli mnie bezceremonialnie z krzesła i podprowadzili do kraty, za którą mieściło się zaplecze komisariatu. Mięliśmy jakiś aneks kuchenny, gdzie brud odpadał płatami ze ścian, i ze dwa inne pomieszczenia, po czym zostałem usadzony w pokoju trzy na trzy metry, wyposażonym w biurko, dwa krzesła i nieaktualny kalendarz wiszący na ścianie. Usadzono mnie tyłem do drzwi i kazano dalej czekać.



Wat Xieng Thong, Świątynia Złotego Miasta



A potem przyszedł jakiś oficer, od razu było widać, po ruchach i postawie, że to gruba ryba albo że tak mu się przynajmniej wydaje. Tłuste, przerzedzone włosy zaczesał na prawo, przykrywając wydatną już łysinę. W ustach błyszczał złoty ząb, na nadgarstku podrabiany zegarek. Nie miał munduru, tylko szarą koszulę w kratę, której ewidentnie od dawna nie prał. W rękach międlil mój paszport, przeglądając go raz za razem, jakby oczekiwał, że coś się w nim zniecka pojawi.

– A więc jesteś przewodnikiem.

– Nie jestem.

– Nie zgrywaj cwaniaka.

– Nie zgrywam, po prostu nie jestem przewodnikiem.

– Chłoptasiu, mój człowiek widział, jak wchodzisz do świątyni z całą grupą, objaśniasz im, co i jak, pokazujesz malunki na ścianach. Jesteś przewodnikiem. Ale widzisz, synku, twój problem polega na tym, że my tu w Laosie mamy prawo turystyczne, które jasno mówi, że grupa turystów musi mieć lokalnego przewodnika. Tak więc widzisz, popełniłeś przestępstwo i coś z tym trzeba będzie zrobić. Zgoda?

– Żadna zgoda – odpowiedziałem. – Po pierwsze, nie jestem przewodnikiem. Przyleciałem tu ze znajomymi na wakacje. A że byłem w Luang Prabang wcześniej, pokazałem im wejście do świątyni, i tyle. Zresztą ja nawet nie znam nazwy tej świątyni. Jakbym mógł cokolwiek tłumaczyć? Żarty jakies.

Inspektor rozparł się wygodniej na swoim obitym skajem krześle bez jednego podłokietnika i uśmiechnął się złowrogo, ukazując brązowawe zęby.

– A ile kupiłeś biletów?

– A jeden, dla siebie.

Zbiło go to trochę z tropu. Złapał telefon, wykręcił numer, rzucił kilka słów i odłożył słuchawkę. W pokoju natychmiast pojawił się młodzian, który mnie zatrzymał. Wymienili kilka zdań po laotańsku, chłopak spojrzał na mnie z mieszaniną wyższości i pogardy. Nie podobało mi się to.

Inspektor poczerwieniał, najpierw zaczął coś syczeć przez zęby, a potem wybuchł taką wściekłością, że aż mu się pogorszył angielski.

– Mój człowiek wszystko widział, wszystko słyszał! Jesteś przewodnik, jesteś! Oprowadzałeś grupę, opowiadałeś im o świątyni, jesteś przewodnik, nie masz licencji, jesteś przestępcą!

– Ale...

– Koniec dyskusji! Albo się mi tu natychmiast przyznasz, albo ci zabiorę paszport na dobre i posiedzisz sobie do wyjaśnienia sytuacji!

– Panie inspektorze, to jakaś fatalna pomyłka, ja naprawdę nie jestem przewodnikiem... – Zmieniłem nieco taktykę, z pewnego siebie białasa na lekko złężnionego turystę, ciągnąc dalej, innymi słowami, ten sam wątek. Inspektor się uspokoił.

– Gdzie się zatrzymaliście? – spytał rzeczowo.

Podaliśmy nazwę pensjonatu.

Zadzwoił.

Chwilę porozmawiał, nic nie rozumiałem.

Poczerwieniał nawet bardziej niż poprzednim razem. W tym momencie poczułem, że tracę grunt pod nogami. Właściciel hotelu mógł powiedzieć cokolwiek, nawet że pracuję w Laosie nielegalnie albo przemycam dziewczyny do Tajlandii, albo że lubię dzieci, albo że sikam z balkonu do Mekongu. Laotańczycy bardzo się boją policji i nie zadzierają z nią bez potrzeby, więc pewnie potwierdził wszystko, o co pytał pan władza. Istniała duża szansa, że inspektor przyłapie mnie na kłamstwie, a tego żadna policja świata nie znosi.

Kiedyś na lotnisku w Singapurze celnicy zatrzymali mnie pod zarzutem posiadania bambusowej dmuchawki, którą w tym kraju uznaje się za broń. Wyłgałem się, mówiąc, że nie mam do niej strzałek, choć leżały na dnie mojego plecaka. Puścili mnie wolno, a mogłem skończyć w areszcie jako przemytnik broni. Myślałem, że tu też się przemknę pod radarem.

Nie przemknąłem się.

Inspektor rzucił słuchawkę. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak Azjata wpada w furię. To rzadki widok i nieczęsto się go ogląda, bo w tej kulturze tylko gówniarze i idioci publicznie się denerwują. Z antropologicznego punktu widzenia było to pewnie nawet interesujące, ale z punktu widzenia aresztowanego nie stanowiło jakoś powodu do radości.

Policjant się wywrzeszczał, powalił pięścią w stół, aż spadł mu zegarek, zobaczył, że pękła sprzączka z napisem VERSACHE, i wściekł się jeszcze bardziej, cisnął zepsutym już zegarkiem o blat, kopnął krzesło, zamachał rękami i wpadł w nieprzerwany monolog, nasycony manią niewspółmierną do sytuacji. W międzyczasie przesiadł się z angielskiego na laotański, więc od połowy nic już nie rozumiałem. Nic też mi nie mówiła kamienna twarz nastoletniego oficera, który stał obok, patrzył bez wyrazu na szefa i nie reagował w żaden sposób.

To wszystko wyglądało jednak trochę zbyt teatralnie.

Na początku denerwowałem się tylko trochę, bo gdy nie wiesz, o co chodzi, zawsze wyobrażasz sobie najgorsze. Teraz jednak zacząłem się niepokoić na poważnie, bo ci policjanci ewidentnie coś kombinowali, choć nie byłem jeszcze w stanie określić, co.

Inspektor pieklił się dobrych kilka minut, potem usiadł, przetarł łokciem spoconą twarz, posłał mi złowrogie spojrzenie i zamilkł. Cisza aż wibrowała w powietrzu, nawet usłyszałem, jak sam nerwowo przełykam ślinę.

– Chłoptasiu, dam ci jeszcze jedną szansę. Ale umówmy się, że to już ostatnia. Jesteś przewodnik czy nie?

Taktyka w zaparte nie zdała egzaminu, musiałem szybko wymyślić coś innego. Na studiach czytałem Schopenhauera, który zaleca w takich sytuacjach dzielić włos na czworo.

– Panie inspektorze, ja już rozumiem skąd to całe nieporozumienie! – krzyknąłem, jakbym odkrył wielką tajemnicę. – Pan mnie cały czas pyta, czy ja jestem przewodnikiem, a ja mówię, że nie jestem, bo u nas w Europie przewodnik to pracuje w muzeum i dostaje pieniądze za oprowadzanie ludzi po zabytkach. Ale może panu chodzi o coś innego? Może pan tak naprawdę pyta, czy jestem liderem tej naszej grupy? I wtedy tak, owszem, jestem liderem grupy, ale to nie to samo co przewodnik. Nie dostaję od nikogo pieniędzy, czasem nawet płacę za...

– Dobra, dobra, piękna historia – przerwał mi inspektor. – Niech będzie. Nie jesteś przewodnikiem?

– Nie, tak jak już mówiłem...

– Ale jesteś liderem grupy.

– Tak.

– Napiszesz w takim razie oświadczenie.

Nigdy, ale to przynigdy nie należy nic podpisywać. Podpis na kartce to mogiła, z tego się już nie da wycofać żadną miarą.

– Mówię, że napiszesz oświadczenie – spokojnie powtórzył inspektor.

– Co niby ma być w tym oświadczeniu?

– Że jesteś *tour leader* i przyprowadziłeś grupę do świątyni bez miejscowego przewodnika.

– Co się stanie potem, jak już napiszę to oświadczenie?

– A to już reguluje prawo.

– Jakie prawo?

– Dowiesz się, jak napiszesz oświadczenie.

– Chcę wiedzieć przedtem.

– Krok po kroku. Pisz oświadczenie.

Właśnie wtedy do mnie dotarło, że to nie jest zabawa, że to nie jedna z tych historii, które się potem wdzięcznie opowiada.

– Nic nie podpiszę. Spierdalaj.

To drugie dodałem w myślach.

Czułem, że coś jest nie tak, ale nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia. Nie ma na świecie kraju, w którym policja najpierw wymusza oświadczenia, a dopiero potem informuje, co ci grozi. Jestem w środku jakiegoś szwindlu, tylko jeszcze nie wiem, jaki jest planowany jego finał.

A azjatyckie szwindle to jest naprawdę koronkowa robota i nigdy, ale to nigdy nie kończą się happy endem.

Nagle zrobiło się jakieś poruszenie, zmieniła się obsada. Inspektor siedział na swoim krześle i próbował stale oprzeć się na podłokietniku, którego jednak cały czas brakowało. Tajemniczy młodzian zniknął, a w jego miejsce pojawiło się dwóch innych. Jeden w mundurze, drugi po cywilnemu. Przejrzeni mój paszport, pogadali. Przyszedł ktoś jeszcze, przekartkował ponownie. Ten zniknął, wrócił młodzian. Zaszumiało radio przypięte do paska, ktoś krzyknął. Jeden klepnął mnie lekko w głowę i szarpnął się jak do bicia. Zabrali paszport z pokoju, wrócił tajniak.

Inspektor znowu zaczął walić pięścią w stół i coś tam pokrzykiwał. Wszyscy dyskutowali między sobą podniesionymi głosami.

Inspektor nagle uciszył ich jednym gestem.

– No i jak tam, chłopcasiu? Zastanowiłeś się?

– Nic nie podpiszę, chcę się skontaktować z ambasadą.

Inspektor kiwnął głową do gościa stojącego za mną, a ten rzucił się nader gorliwie z kajdankami i skuł mi ręce.

Mysł, chłopie, mysł!

– Dobradobradobra, spokojnie – zacząłem mówić bardzo szybko. – Muszę najpierw zrozumieć, co tu się dzieje. Popełniłem waszym zdaniem przestępstwo, tak?

– Tak.

– Mam złożyć oświadczenie, w którym się do tego przyznam, tak?

– Tak.

– Mogę iść do więzienia?

– Nie.

– Zapłacić karę?

– Tak.

– Jak dużą?

Inspektor wciągnął powietrze nosem, pogładził zaczeskę, a potem otworzył szufladę biurka i wyjął z niej kartkę oraz długopis. Cisnął je przede mnie i wycedził przez zęby:

– Najpierw pisz.

Gorączkowo próbowałem wymyślić jakieś wyjście z sytuacji, ale wszystko po kolei zawodziło. Nie pozwolili mi zadzwonić do ambasady, która zresztą i tak wiele by nie zdziałała ze swojej placówki w Bangkoku. Nie pozwolili mi powiadomić znajomych ani zapoznać się z przepisem, na podstawie którego mnie zatrzymali. Nie zgodzili się na tłumacza, który wytłumaczyłby mi jakoś bardziej przejrzyście, o co chodzi. Nie zgodzili się na nic. W tym scenariuszu miałem tańczyć, jak mi zagrają, i w finale znaleźć się dokładnie w tym miejscu, które zostało dla mnie przewidziane. Nikt mi tylko nie chciał zdradzić, co to za miejsce.

Z braku lepszego pomysłu grałem więc na czas, na zmęczenie materiału, chociaż to teoretycznie działało na moją niekorzyść. Minęły już ze dwie godziny i nie posunąłem się naprzód nawet o milimetr. Gdy tylko widziałem jakieś światelko w tunelu, wracaliśmy do tego samego: napisz oświadczenie, a potem dowiesz się, co dalej.

Kajdanki uwierały, inspektor wrzeszczał i siłą rzeczy osiągał zamierzony efekt. Siedziałem przestraszony już nie na żarty, mój paszport dawno znikł mi z oczu, czułem się coraz bardziej wyczerpany i coraz mniej miałem pomysłów. Nie ma szans, nie wygram z nimi.

Odetchnąłem głębiej.

– Dobrze, napiszę to oświadczenie.

– Mądry chłopak – uśmiechnął się przez zęby inspektor i podsunął bliżej kartkę.

– Co ma w nim być?

– Podyktuję ci, nic się martw.

Pisemne oświadczenie to gwóźdź do trumny, mówiłem wam. To jest naprawdę poważna sprawa i tu już nie ma żartów. Postanowiłem oświadczenie inspektora zapisywać niby tak samo, ale swoimi słowami, w wersji, z której mógłbym się jakoś później wykręcić, żeby mieć chociaż cię szansy na przyszłość.

– Jako przewodnik grupy zaprowadziłem ją do świątyni Xieng Thong... – zaczął dyktować boss.

– Grupa moich przyjaciół wybrała się do świątyni Xieng Thong... – zacząłem pisać.

– ... i oprowadzałem ich po terenie, gdy zatrzymała mnie policja – kontynuował.

– ... i rozmawiałem z nimi, gdy zatrzymała mnie policja – zapisałem.

W ten sposób przebrnęliśmy przez oznajmienie, iż nie wynajęliśmy lokalnego przewodnika, że przyjechaliśmy tego i tego dnia, a wyjechać mamy zamiar tego i tego. Potem w wersji inspektora widniało, że pokazywałem grupie buddyjskie świątynie, a w mojej, że rozmawialiśmy o budyzmie. A potem inspektor nawet nie spojrzął na kartkę i powiedział:

– Podpisz.

Podpisałem.

– Daj kciuk.

Dałem. Został umoczony w czerwonym tuszu i odbity na kartce kilka razy. Inspektor wyraźnie się rozluźnił, co nigdy nie jest dobrym znakiem. Poczulem w żołądku wielką ołowianą kulę, a gardło ścisnęło mi się jak w za ciasnej koszuli na maturze z geografii. Krew huczała w uszach.

– Dobrze – zaczął z ironicznym uśmiechem starego wyjadacza inspektor. – Więc ustaliliśmy, że byłeś w świątyni z grupą i akceptujesz, że popełniłeś błąd, nie wynajmując przewodnika.

Strzelił palcami i zza moich pleców wyskoczyła ręka ze skoroszytem wypchanych papierami. Inspektor poślinił palec i niespiesznie zaczął przetrzucać kartki. Wyjął jedną ze środka i położył ją przede mną. Była to sfatygowana kserokopia jakiegoś urzędowego dokumentu. Czerwonym flamastrem ktoś zaznaczył punkt numer siedemnaście, a pod spodem widniały ledwo widoczne pieczętki. Całość spisano w laotańskim alfabecie, więc nie rozumiałem ani słowa. Gdzieniedzie rozpoznawałem tylko arabskie cyfry, sto tysięcy, a potem dwieście.

Jak pragnę zdrowia, w życiu nie poczułem takiej ulgi.

Wszystko stało się jasne w mgnieniu oka. W ten oto pokrętny sposób słabo opłacana policja wymusza łapówki, bo jak w każdym socjalistycznym kraju, w Laosie się nie przelewa i budżetówka widać cierpi na chroniczny brak żołądka. Toż to tylko o pieniądze im chodzi! A ja tu już rozważałem scenariusze z dożywociem, snułem jakieś fatalistyczne wizje, widziałem się w rynsztoku, bez górnych siekaczy i w samych majtkach, broczącego krwią, zapłakanego i zbezczeszczonego fizycznie. Strach ma jednak wielkie oczy.

Odetchnąłem spokojniej, krew wróciła do zwyczajowego obiegu, ręce przestały się tak makabrycznie trząść. Jesteśmy w domu. Ile to jest dwieście tysięcy laotańskich kipów? Dwadzieścia dolarów? Phi, dam radę, nie było po co tak panikować.

– No więc, inspektorze, co tu jest napisane? – spytałem pewnie, wiedząc, jaką usłyszę odpowiedź.

– Tu, w artykule numer siedemnaście, jest wyraźnie napisane, że obcokrajowiec za takie przestępstwo płaci dwa tysiące dolarów – odpowiedział inspektor z twarzą pokerzysty.

Zakręciło mi się w głowie. Dobrze, że siedziałem, bo niechybnie bym się przewrócił. Spojrzałem raz jeszcze na kartkę. Faktycznie, to nie było dwieście, tylko dwa tysiące, ale tylko tyle rozumiałem, to mógł być równie dobrze dokument dotyczący kwestii przewozu bydła przez granicę z Kambodżą.

– Płać – polecił cicho inspektor, a każda głoska aż ociekała jadem.

W pokoju zaległa cisza.

– A skąd ja mam niby wytrzasnąć tyle pieniędzy? – spytałem słabym głosem.

– A to już jest twój problem, chłoptasiu.

To, co się dalej działo, pamiętam bardzo słabo. Było dużo krzyku i trzaskania drzwiami, posterunkowi wbiegali i wybiegali, inspektor siedział nieruchomo i przyglądał mi się badawczo, a ja próbowałem myśleć logicznie. Minęło kilka nerwowych minut i śledczy postanowił rozjaśnić mi sytuację. Odchylił się do tyłu, złożył ręce na brzuchu i zaczął kręcić kciukami młynka.

– Z tego miejsca są tylko dwa wyjścia. Pierwsze: płacisz karę, dostajesz paszport i wracasz do domu. Drugie: nie płacisz, ja rekwiruję twój paszport i ślę go oficjalną drogą do odpowiedniego departamentu, który i tak ściągnie z ciebie te pieniądze. A u nas poczta słabo działa, dużo ma opóźnień, zajmie to pewnie kilka tygodni. No, pomyśl, przecież masz pieniądze, wy wszyscy macie dużo pieniędzy, wszyscy, którzy tu przyjeżdżacie, wydajecie majątek na bilety lotnicze, na te pamiątki, na te przejażdżki po rzece. Nie cwaniakuj, że taki niby jesteś biedny, chłoptasiu, bo ja wiem, że n i e j e s t e ś . Zapłacisz tak czy owak, bo mam twoje oświadczenie. Pytanie tylko, kiedy stąd wyjdiesz.

Inspektor był zawodowcem, to było jasne jak słońce. Uderzał prosto w najgorsze lęki białych turystów i uderzał skutecznie. Gdybym był w Azji pierwszy raz, zapłaciłbym już godzinę wcześniej, choćbym miał zaciągnąć kredyt. Ale z moich poprzednich doświadczeń z tym kontynentem wyniosłem jedną naukę. Otóż w Azji wszystko jest negocjowalne.

Te dwa tysiące dolarów to była pozycja startowa inspektora. To jest kwota duża nawet dla nas, przyjezdnych. W Laosie to jest kwota niewyobrażalna. Nie liczył więc chyba serio na to, że ją uzyska. Pozostała kwestia zbiccia jej do założonego przez inspektora minimum, z nadzieją, że minimum jest ustawione na akceptowalnym poziomie.

Poczułem się cokolwiek pewniej na znanym terytorium i szykowałem się do precyzyjnej kontrofensywy. Zanim jednak zdążyłem otworzyć usta, inspektor mnie uprzedził, wistując bez żenady:

– Słuchaj no, te dwa tysiące to jest oficjalna taryfa. Ale my tu mamy taką lokalną politykę, że to może być również jakaś mniejsza kwota. Mogę poprosić kapitana, żeby była niższa.

– Jak duża?

– Musisz coś sam zaproponować.

Wyciągnąłem portfel i wysypałem z niego na blat wszystkie banknoty. W przeliczeniu, jakieś dwadzieścia dolarów. Niech to będzie mój punkt startowy.

Bardzo ten punkt inspektora rozjuszył. Po chwili się jednak uspokoił, zgodnie z moimi przewidywaniami. W końcu skończyliśmy już etap straszenia i teraz się targujemy, a tu nie ma miejsca na emocje.

Wyciągnąłem cały arsenał sztuczek, od udawanego oburzenia, przez prośby i błagania, po roztrzęsioną rezygnację. Krzychałem, łkałem i milczałem na zmianę, żonglując argumentacją na chybił trafił. Inspektor zszedł do tysiąca i uprzedził, że niżej już nie będzie. Tysiąc dolarów! Za to można przeżyć w Azji pół roku! Odpowiedziałem, że wszystkie pieniądze, jakie mam na ten wyjazd, to trzysta dolarów i więcej nie wyrzeźbię, on na to, żebym pożyczył od znajomych, ja z kolei, że przyjechalśmy z biednego, komunistycznego kraju i że ma niedorzeczne wyobrażenie zachodnich obcokrajowców. Odegrałem wszystko, co potrafiłem, włącznie z ubogim studentem, pewnym siebie sukinsynem i przerażonym turystą, co to nie wiedział, że jest taki przepis.

Ani grosza poniżej tysiąca.

– Panie inspektorze – chwyciłem się ostatniej deski ratunku. – Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do kapitana, który podejmuje decyzję o zniżce.

Zapadła cisza, tego się chyba nie spodziewali. Inspektor się pochylił, krzesło zaskrzypiało.

– To ja jestem tym kapitanem.

No tego to ja się nie spodziewałem.

Teraz już było jasne, że to szwindel ustawiony przez cały posterunek, maszynka do obrabiania turystów. Temat tego mitycznego departamentu wracał jak bumerang, grając rolę straszaka. Na bank żadnego departamentu nie było i nie mieliby nawet dokąd tego mojego paszportu wysłać, ale policja ma aż nadto sposobów, żeby zatrzymać moje dokumenty pod dowolnym pretekstem i usadzić mnie na kilka dni. Przerzynałem na całej linii, nie miałem stąd łatwego wyjścia. Podjąłem po cichu decyzję, podniosłem głowę i powiedziałem spokojnie:

– Nie mam, panowie, takich pieniędzy i znikąd ich nie zdobędę. Nie mogę zapłacić, wysyłajcie sprawę do departamentu.

Va banque, trudno, raz kozie śmierć.

– W porządku – odpowiedział inspektor-komendant i machnął na młodziana.

Chłopak rzucił na stół mój paszport i wyciągnął z biurka urzędową kopertę z czerwonym paskiem. Patrzyłem z rosnącym niepokojem, jak pieczołowicie składa moje oświadczenie, pakuje wszystko do koperty i zaczyna ją adresować. Wymienili kilka uwag, inspektor coś rzucił do tajniaka stojącego w drzwiach, a ten znów wyciąga kajdanki. Żadnego pola manewru, nic. Żadnej instancji odwoławczej, żadnych praw, żadnego telefonu. Albo grają do ostatniego gwizdka, albo się srogo przeliczyłem i oto wpadam z głową w dół z nieczystościami. Zacząłem coś tam stękać, podając jednocześnie ręce do skucia, że nie mam takich pieniędzy, że może mogę pożyczyć, ale nie więcej niż cztery stowy. Inspektor tylko machnął ręką, że już nie ma o czym gadać i kieruje się do wyjścia, zostawiając papierkową robotę podwładnym. Ale w drzwiach rzucił przez ramię niezwykle cicho coś o zniewadze i czterystu, a potem coś o sześciuset.

Uchwyciłem się tego zębami. Już nawet nie pamiętam oracji, jaką musiałem wtedy wygłosić, ale jej skutek był taki, że inspektor wolnym

krokiem wrócił na swoje krzesło i znów mi się przyglądał z nieprzeniknioną, kamienną fizis.

W pewnym momencie gwałtownym ruchem wyrwał urzędową kopertę swojemu podwładnemu, który wciąż kaligrafował na niej adres mitycznego departamentu, co dało w efekcie pociągłą kreskę przez całą jej szerokość. Inspektor przeciągnął językiem po zębach i mlasnął, następnie wyjął z koperty moje oświadczenie i oznajmił:

– Dopiszesz tu jeszcze jedno zdanie.

Było mi już wszystko jedno. Wziąłem do ręki długopis bez skuwki.

– Obiecuję, że następnym razem zatrudnię lokalnego przewodnika... – zaczął dyktować inspektor.

Zapisałem, w dokładnym brzmieniu.

– ... i zgadzam się na karę w wysokości... pięciuset dolarów... – zakończył, patrząc badawczo. Podniosłem powoli wzrok znad kartki.

– Pięciuset...? Niech będzie.

– To tego nie pisz.

WCIĄGNAŁEM DO PŁUC ŚWIEŻE POWIETRZE, jakbym odsiedział dziesięć lat, a nie kilka godzin. Nie miałem wprawdzie paszportu, ale wyneogcowałem – nadal horrendalnie wysoką – stawkę pięciuset dolarów i wyglądało na to, że sprawa znajdzie finał jeszcze tego samego dnia. Popędziłem do hotelu, w którym z mojej tajnej skrytki w plecaku, kieszeni zaszytej w najmniej oczywistym miejscu, wyciągnąłem swój zasób na czarną godzinę, który od lat bezpiecznie w niej sobie podróżował. Wróciłem na posterunek, żeby dokończyć formalności. Wszedłem przez skrzyżujące drzwi do błękitnego pokoju i zobaczyłem inspektora, który siedział przy biurku. Oprócz niego nie było nikogo. Tłumy policjantów tak żywo zainteresowane moją sprawą gdzieś wyparowały i oto byliśmy na posterunku sami.

Odsunąłem krzesło, by na nim usiąść, twarzą w twarz z inspektorem.

– Chcę dostać jakieś pokwitowanie – odezwałem się spokojnie i rzeczowo – bo jak go nie dostanę, zgarniecie mnie za kilka minut z chodnika,

pokażecie ten sam paragraf, a potem moje własne oświadczenie i powiecie, że mam zapłacić dwa tysiące.

– Z pokwitowaniem to będzie trwało tydzień przez departament i kosztowało dwa tysiące. Za pięćset nie ma pokwitowania.

– W takim razie chcę kopię tego oświadczenia.

– Nie.

– Ma pan mój paszport?

– Najpierw pieniądze.

– Najpierw paszport, przyjacielu – podniosłem nieco głos, z czego dziś, gdy to wspominam, jestem bardzo dumny. – Nie zobaczysz żadnych pieniędzy, dopóki ja nie zobaczę swojego paszportu.

Inspektor wyjął mój paszport z kieszeni na przyrodzeniu i położył przed sobą. Splunął w kąt, wsadził do ust papierosa i podpałił go. Spojrzał wyczekująco.

Wyciągnąłem pieniądze i przeliczyłem przy nim.

– Zgadza się?

– Zgadza – odpowiedział.

Wyciągnąłem rękę z pieniędzmi, inspektor podniósł paszport i dokonaliśmy równoczesnej wymiany. Wyszedłem z pokoju, obrzucając inspektora najgorszym spojrzeniem białego wywyższenia, na jaki było mnie stać.

Do dziś nie wiem, czy to byli prawdziwi policjanci.



– E TAM, wymyślił pan tę historię... – skwitował kierowca taksówki.

– Nie wymyśliłem, tak było naprawdę.

– No i co, najadł się pan strachu, a jednak nadal jeździ. Mówiłem panu, wojaże zmieniają człowieka. Ma czas, ma myśl, popatrz sobie dookoła i na siebie też przy okazji popatrz. Może dojdzie do jakichś wniosków. Każdy by się z panem zamienił. Dwadzieścia cztery złote.

– Może i ma pan rację. Reszta dla pana.

Nie „może”. Taksówkarz miał rację.
Każdy by się ze mną zamienił.
A gdyby tak...



Dwa miesiące później

POCIĄGNAŁEM ZA KLAMKĘ i otworzyłem drzwi, trącając dzwonek. Na mróz buchnęło wilgotne powietrze przepojone alkoholem i papierosowym dymem. W środku panował półmrok i spokój właściwy nocy trwającej całą dobę. Ciasne wewnątrz urządzono dawno temu. W ciemnych kątach od przynajmniej czterdziestu lat ukrywali się ci, którzy nie chcieli być widziani. Stali bywalcy, lubiący lustra za towarzyszy, nawet popołudniem, jak teraz. Ludzie bez twarzy i bez przyszłości, nieustannie wspominający dawne dzieje. Za kontuarem krzątała się tleniona blondynka o nieudanej trwałości, w nieco przybrudzonym fartuchu. Jej ziemista twarz nie wyrażała żadnych emocji. To miejsce zbyt wiele już widziało.

Siedział przy oknie, na wysokim stołku z niewygodnym oparciem, a przed nim parowała herbata. Mój ojciec. Tata. Człowiek, który otworzył mi głowę na świat i nauczył zawsze obstawać przy swojej racji, bez względu na koszty. Trochę filozof, trochę religioznawca, muzyk, chociaż umysł ściśły. Bluesman i fan jazzu. Twardy i wymagający nauczyciel.

Gdy przyszedłem do domu zapłakany, bo któryś z kolegów zrzucił mi plecak z okna na ulicę, polecił mi wrócić do szkoły i obić mu głowę. Miałem walić pierwszy i z całej siły, bo w przeciwnym razie przez całe życie będą mną pomiatać. Gdy przegrywałem mecz na podwórku i przychodziłem się przytulić, zawsze kazał mi przestać się mazgać i podać zwycięzcy rękę, bo przegrywać trzeba z klasą. We wszystkim, co robiłem, wymagał perfekcji, bo jeśli miałem zamiar zrobić coś na pół gwizdka, lepiej nie zaczynać w ogóle.

Mój ojciec miał zawsze gotową odpowiedź na każde pytanie, obojętne jak trudne, choć często uważał, że tej odpowiedzi nie będę w stanie

zrozumieć. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o życiu. Nie nauczył mnie tylko jednego – tego, że on sam też może się mylić.

– Dziwne miejsce wybrałeś – zaczął.

– Potrzebowałem dobrego tła do książki.

Jakby podkreślając scenerię, doświadczony sommelier siedzący w kącie, zakutany w śmierdzącą brudem kurtkę, zamamrotał coś basem i odstawił kieliszek z grubego szkła.

– To chyba jedyny możliwy powód – skwitował ojciec. – No nic, siadaj, napij się, pogadajmy, skoro chciałeś.

– Co u mamy?

– Nic nowego. A u was?

– Też po staremu.

– No to mów, o co chodzi – ponaglił tata.

– Przyszedł mi do głowy pomysł, który może ci się wydać dziwny...

– Mnie już dawno przestały dziwić twoje pomysły.

– Patrząc na moich przyjaciół i widzę, że czegoś im w życiu brakuje.

Wiesz, niektórzy są na wirażu, a inni stoją w miejscu i nie wiedzą, co dalej. Każdy czegoś potrzebuje, ale najczęściej nie wie czego...

– A ty wiesz? – przerwał mi ojciec.

– Tak mi się wydaje.

– Odważne założenie.

WIDZICIE ZDJĘCIA Z EGZOTYCZNYCH MIEJSC, wyobrażacie sobie, jak pięknie tam musi być. Słuchacie opowieści, w których wszystko jest pełniejsze i smakuje inaczej. W których dni są niepodobne do siebie, ludzie są szczęśliwsi, a słońce świeci zawsze. Zazdrościcie, marzycie, planujecie, odkładając decyzje na lepszy moment, który jednak nigdy nie nadchodzi. Wasz kalendarz jest zawsze zbyt pełny, piętrzą się trudności, zobowiązania. A czas płynie. Wiedziecie życie, jednocześnie marząc o innym.

Każdy by chciał podróżować, mówicie. Każdy by się ze mną zamienił. Niech tak się stanie.

Wybrałem trzech moich przyjaciół, którym wiele w życiu zawdzięczam. „Zabiorę cię w dowolne miejsce na świecie – powiedziałem

każdemu. – Dokąd tylko chcesz. Przeżyjesz to, o czym od zawsze marzyłeś, zobaczysz miejsca, które zawsze chciałeś zobaczyć. Sprawdzisz się w tym, na co nigdy nie miałeś odwagi. Przekonasz się może, na co cię stać. Ty decydujesz kiedy, dokąd i po co.

Ale zdecydować musisz teraz, w tym momencie.

Decyduj”.

HISTORIA JAK Z FILMU, KTÓRA WYDARZYŁA SIĘ NAPRAWDĘ

*Zabiorę cię w dowolne miejsce na świecie.
Pod jednym warunkiem – decyzję, dokąd chcesz lecieć i po co,
musisz podjąć już, w tej chwili.*



Ta propozycja dała początek trzem niezwykłym podróżom.

Trzydziestolatek z korporacji uciekający od codziennej rutyny do afrykańskiej dżungli. Młoda kobieta mierząca się ze swoimi największymi obawami w świecie ortodoksyjnego islamu. Dojrzały mężczyzna, który postanawia wreszcie odwiedzić miejsca, o jakich marzył przez czterdzieści lat.

Wyprawy na drugi koniec świata zmuszą całą trójkę do konfrontacji z własnymi lękami, złudzeniami i szansami, które zmarnowali. Kim będą po zakończeniu podróży? Wrócą do starego życia czy pójdą inną drogą?

**TO JEST KSIĄŻKA O PODRÓŻACH I ZARAZEM KSIĄŻKA-PODRÓŻ,
KTÓRĄ KAŻDY PRZEŻYJE INACZEJ**

Nowa książka
autora bestsellerowych reportaży:
GORĄCZKA i SAMSARA

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-288-3



9 788375 152883

Patroni:



Partnerzy książki:



Cena detal. 39,90 zł